Rok IV. Kraków 15 Czerwca 1896. Nr 10.



PISMO ŁUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi**: rocznie: **2** złr. **50** ct. półrocznie: **1** złr. **50** ct.
Kto przeto składa z góry *całoroczną* przedpłatę, płaci o 50 ct. mniej.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **5** mk. — półrocznie: **3** mk.
W Ameryce rocznie: **1½** dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: ***Nowiny*** i ***Rozmaitości.***

Książkę do modlenia

pod tytułem: **„Droga do nieba“** otrzyma zupełnie darmo, jako nagrodę, każdy, kto pozyska dla „Nowego Dzwonka“ na **2-gie** półrocze **dwóch** nowych prenumeratorów. (2—5)

Ostatnie przypomnienie!

1) **Kto do końca tego miesiąca nie nadeszle prenumeraty na 2-gie półrocze, ten w lipcu naszych gazetek już nie otrzyma.**

2) **Dotychczasowi** Czytelnicy, którzy prenumerowali *Nowy Dzwonek* przez I-sze półrocze i zapłacili już: 1 złr. 50 ct., mają na 2-gie półrocze zapłacić **tylko 1 złr.** (z Niemiec 2 mk.).

3. Wszyscy zaś **nowi** Czytelnicy, płacą **półrocznie: 1 złr. 50 ct.**

4) Kto pozyska (oprócz siebie) **dwóch nowych** prenumeratorów, otrzyma za to jako nagrodę książkę do modlenia: **„Droga do nieba“.**

W dwusetną rocznicę śmierci
Jana III Sobieskiego

(Nuta: „Z dymem pożarów").

„My już bez skargi nie znamy śpiewu".
K. Ujejski.

Boże Wszechmocny, Boże na niebie!
Przyjmij, prosimy, nasz smutny głos,
Który z pokorą wznosim do Ciebie
Teraz, gdy nęka nas srogi los.
Już przez dwa wieki we łzach toniemy,
Jak Polsce matce przybywa ran;
Ratuj nas Boże! głos w niebo szlemy,
Boś Ty nasz Ojciec, boś Ty nasz Pan.

Kiedy, o Panie, z Twej świętej łaski
Na tronie Piastów Jan Trzeci siadł,
Błogie Ojczyźnie zatlały blaski,
Pod jego mieczem wróg Krzyża padł.
Gdy Muzułmanów ślepych nawała
Pod Wiedniem Niemców pragnęła zgnieść,
I razem wiarę Twą zatrzeć chciała,
W Twe Imię zmiótł ją, czyniąc Ci cześć.

Ale skoroś nam, o Wielki Boże,
Dzielnego króla wziął przed Swój tron,
Już się z łez naszych wezbrało morze,
Bo wróg Ojczyźnie zaprzysiągł zgon.
O Panie, Panie! ileż swawoli
W Ojczyźnie wtenczas zdziałał nasz wróg;
Ileż jej dzieci pchnął do niedoli,
A ileż z Twoich postrącał dróg!...

Ale krzywd tyle nie wystarczyło,
Bo wielkiej zguby wróg Polsce chciał;
I znów uderzył z szatańską siłą
I krew niewinną obficie lał.
A jako mnóstwo po deszczach spadłych
Kałów zmąconych od słońca lśni,
Tak ziemia nasza przez wrogów zjadłych
Była oblana strugami krwi.

I na Podlasiu jeszcze nie starty
Krwi męczenników pozostał ślad;
Na lud z świątyni w Krożach wyparty
Krwią obryzganą dłoń podniósł kat.

O! Panie, Panie! to za Twą wiarę
Tyle męczeńskiej popływa krwi;
Ach, Panie, odbierz tę męki czarę,
Wyjm miecz boleści, co w sercu tkwi!

Zlituj się, Panie, zlituj nad nami,
Bo już krew ojców wydała plon;
Myśmy zmywali grzechy krwią, łzami —
Wróć nam Ojczyznę, wróć polski tron!
Zlituj nad nami, zlituj się Panie,
Co do próśb naszych, łaskawie zrządź,
Lecz gdy Twa wola nie tak się stanie,
Sam nam Obrońcą i Królem bądź!

W Wielowsi dnia 4 czerwca 1896 r.

Ferdynand Kuraś.

Dwaj bracia Litwini.

(Opowiadanie historyczne).

Na Litwie, niedaleko Grodna, mieszkał chłop nazwiskiem Ciwuń. Miał on trzech synów: Szymona, Jana i Jakóba, a wszyscy już dość podrośli tak, że najmłodszy Jakób miał lat szesnaście. Ojciec wielką miał z nich pomoc w gospodarce i pociechę na podeszłe swe lata. Cieszył się też starowina ze swych dzieci i już sobie na przyszłość marzył, jaki to z Szymka będzie gospodarz a z Janka organista. Tylko nie wiedział jeszcze, co z Jakóbkiem zrobić, boć dwóch synów na małem gospodarstwie trudno umieścić.

— Ha! Bóg da, że i on nie zginie — myślał sobie nieraz stary Ciwuń.

Było to w miesiącu maju, gdy stary Ciwuń z trzema synami wracał nad wieczorem z cmentarza do domu, kiedy zdaleka dał się słyszeć tętent koni, a potem szczęk pałaszy. Był to oddział husarzy polskich, który do wsi się zbliżał. We wsi żołnierze zajechali wprost do dworu, a kupki ludzi stały przed wrotami chałup i pytali jeden drugiego; co znaczy to wojsko we dworze? Niedługo ludzie dworscy roznieśli wiadomość po wsi, że pan hetman litewski Pac rozsyła po całej Litwie wiadomość, iż król polski ma wyciągnąć na Turków i dlatego wzywa wszystką szlachtę, aby się pod chorągwie wojewódzkie co rychlej zbierała, a nawet dozwolono i chłopów przyjmować na ochotnika.

Niedługo dziedzic zwołał starszych z gromady do dworu i powiedział im, o co rzecz idzie. Zawołano potem przed dwór parobczaków z gromady i pytali się ich starsi: czy chcą bronić

Ojczyzny, czy chcą wyciągnąć z wojskiem na Turka i Tatara? Wtedy najprzód wystąpił osiwiały Ciwuń, a za nim trzech jego synów i tak się odezwał:

— Gdybym był młodszym, to i jabym nie pożałował swojego życia na obronę tej ziemi ukochanej, co nas żywi i odziewa. Toć przyjmijcie panowie pod chorągiew moich synów, a ja wam ręczę, że z Turkiem żartować nie będą.

— Poczciwy Ciwuniu — odezwał się dziedzic — wyście już stary, niepodobna więc, żebyście się całkiem podpory na starość pozbyli.

— Toć tam na wojnach nie wszyscy giną, zresztą Jakóbek jako najmłodszy niech przy mnie zostanie.

Zapisano tedy Szymka i Janka do wojska polsko-litewskiego, a za nimi i kilku innych parobczaków.

Nazajutrz po Mszy św. ojciec pobłogosławił Szymka i Janka, dał im poświęcane Szkaplerze na drogę i rozpłakał się rzewnemi łzami, gdy ich zobaczył odjeżdżających z jednym husarzem do Grodna, gdzie hetman litewski, czyli wódz, zbierał oddziały i ćwiczył je w mustrze. — Tymczasem oddział jazdy husarskiej wyruszył dalej, aby i po innych wioskach i miastach zbierać zdatnych do boju.

* * *

W dawnych czasach polskich głównie tylko panowie i szlachta stawali w szeregach konno i bili się z nieprzyjacielem. Chłopów rzadko kiedy używano do bitwy, ale mieli oni dużo zatrudnienia w obozach; używano ich na woźniców do wozów, lub wreszcie służyli swym panom i mieli o ich koniach i uzbrojeniu staranie. Posługaczów obozowych zwano u nas ciurami. Każdy z nich miał pałasz przy boku, a nawet mógł mieć pistolet za pasem lub dzidę w ręku.

Często się zdarzyło, że takie ciury, gdy trzeba było, biły się z wrogiem i nieraz mu dobrze za skórę zalazły; ale działo się to chyba w wielkiej trwodze, gdy nieprzyjaciół zanadto wielu było. Czasem też ciury owe, gdy się niesforność pomiędzy nich wkradła, dużo bigosu i swoim narobili, jak to za króla Zygmunta III się stało w czasie klęski pod Cecorą, gdzie dzielny hetman Żółkiewski padł pod mieczem tureckim.

Wojskiem litewskiem dowodził hetman Pac, gdy Ciwuniowie wyciągnęli na wojnę. Litwini z ochotą pod jego chorągwie się zbiegali i byłby wystawił ogromne wojsko, gdyby nie to, że przyszedł nagle rozkaz od króla, aby bez najmniejszej odwłoki wyciągnął w drogę i spiesznie pod Lwów na Ruś czerwoną, dzisiejszą Galicyę, zdążał. W ten sposób pan hetman zebrał zaledwie

dziesięć tysięcy wojska i z niem pospieszał tam, gdzie król rozkazał. Z drugiej strony i król Jan Sobieski nadciągnął i oba wojska ruszyły razem ku Podolowi.

Był tam już strach wielki pomiędzy ludem. Sułtan turecki posłał na Polskę wezyra, czyli wielkiego wodza swojego, Ibrahima, którego wszyscy nazywali szatanem dlatego, że był czarny na licu jak węgiel i miał duszę jak zły duch. Prowadził ze sobą sześćdziesiąt tysięcy Turków i sto tysięcy Tatarów. Zdobył on już piękne podówczas polskie miasta: Zbaraż, Buczacz, Podhajce; palił po drodze siedziby wylęknionych mieszkańców, wyrzynał lud, lub w jasyr czyli do niewoli zabierał W końcu ten szatan obległ miasto Trembowlę, co leży nad rzeką Seretem i chciał zdobyć jego zamek, gdzie się garstka Polaków dzielnie broniła pod dowództwem pana Chrzanowskiego i jego odważnej żony. Turcy od kilku dni bili z armat do zamku; kule szarpały już mury, w końcu przypuścili szturm, aby raz już uporczywy zamek zdobyć, choć napróżno, bo Polacy z ludem ukraińskim to mrowie pogańskie spędzili z murów i wałów, zadawszy im wielkie szkody w ludziach.

Ale głową trudno mur przebić! W końcu byliby się już musieli poddać Turkom lub zginąć co do nogi. I już właśnie mieli wywiesić na wałach białą chorągiew poddania się, ale nieustraszona Chrzanowska skłoniła męża do zaniechania tego zamiaru, grożąc odebraniem sobie życia i mężowi. Postanowiono więc walczyć do upadłego, wtem na szczęście zdaleka z za gór pokazało się wojsko pancerne z królem Sobieskim na czele.

Przestraszył się bardzo Ibrahim, bo nie spodziewał się widzieć tak prędko odsieczy dla zamku, więc zwinął obóz i spiesznie od Trembowli uciekał tem więcej, że jak się dowiedział, sam Sobieski idzie na niego. Król ten był postrachem dla Turków i Tatarów, bo też ile włosów na głowie człowieka, tyle ten dzielny wojak nakładł nieprzyjaciół własnym swym mieczem. Gdzie nim błysnął, tam chmury pogan pierzchały, niby kurz od wiatru gnany. Więc też i teraz wsiadł im król na karki, uwolnił od nich Trembowlę i Podhajce, a zwróciwszy się nagle pobił ich pod Lwowem, dokąd się inne oddziały bisurmańskie zapędziły.

Dwaj nasi bracia Litwini, że byli wzrostu pięknego, śmiałego oka i silnych pięści, więc też zaraz z początku wybrał ich sobie pan hetman litewski do swoich usług. Kiedy bitwa wrzała, mogli oni zostawać z drugimi ciurami w obozie i pilnować taboru, to jest wozów i bagaży, ale oni uprosili pana hetmana, żeby im choć zdaleka wolno było z koni przyglądać się bitwie. Zdarzyło się, że w bitwie pod Podhajcami oddział Tatarów zapuścił się aż ku obozowi hetmana, bo ich gnało przed sobą rycerstwo

polskie. Wielu wtedy Tatarów z koni spadło, ale też większa część uciekła w różne strony na rączych i zwinnych swych koniach. Widzą to wszystko dwaj bracia Litwini, nie mogli już dłużej wytrzymać, aby się tylko z koni przyglądać bitwie, więc puścili się na uciekająch Tatarów. Janek dopędził się zaraz jakiegoś dowódcę tatarskiego i jednem cięciem pałasza głowę mu odciął; puścił się potem za drugim, dopędził go i zamierzył się już zbroczonym krwią pałaszem na niego, gdy zwinny Tatarzyn przechylił się prawie pod brzuch koniowi i cięcie Janka chybiło. Nim zdążył drugi raz się zamierzyć, już kilku Tatarów go obstąpiło i zarzuciwszy mu pętlicę powroza na szyję, z konia go zwlekli i uciekli z nim przez pola.

Tymczasem Szymek w innej stronie uganiał się z wrogiem. Zdarzyło się, że w ucieczce jakiś bogato ubrany, brodaty Turek, na pięknym koniu wprost pędził na niego z wydobytym krzywym pałaszem. Szymek stanął śmiało i wzniósł pałasz do góry. Turek szybkiem cięciem drasnął go końcem ostrza po licu w chwili, kiedy Szymek go chybił, więc dojęty do żywego, zmierzył się na nowo, ale i Turek był gracz nielada, bo zastawił się tak silnie, że oba pałasze pękły na dwoje i z brzękiem daleko odpadły.

Wtedy nasz wojak rzuca resztę pałasza o ziemię i w mgnieniu oka chwyta silnie Turka za gardło i tak zciągnąwszy go ze siodła, zarzuca na grzbiet swojego konia przed siebie i pędzi do obozu galopem. Już też i bitwa się skończyła. Wielka moc nieprzyjaciół legła na placu i naszych padło też nie mało, ale zwycięstwo było przy królu. Zatrąbiono na wojsko, zebrały się szeregi polskie, stanął i Szymek przy swoim hetmanie i pokazał mu kogo schwycił w bitwie: trzymał on jeszcze mocno za szyję Turka przed sobą. Hetman spojrzał i poznał po ubiorze, że to basza, to jest jenerał turecki w niewoli u silnego Szymka.

— Puść go dzielny chłopcze! — rzekł hetman — niech stanie ten basza przed królem i czołem mu uderzy.

Wtedy Szymek puścił Turka, ale ten spadł jak kloc na ziemię, pokazało się, że go Szymek udusił.

Na takie zdarzenie szeregi wojaków patrzały dziwnemi oczyma; dziwili się wszyscy nadzwyczajnej sile Litwina. Pan hetman w nagrodę kazał mu dać nową bogatą szablę, wysadzaną na pochwie i rękojeści drogiemi turkusami i odtąd już Szymek mógł przy boku hetmańskim stawać do bitwy i razem z drugimi rycerzami, jako ich towarzysz, bić wrogów.

Ucieszył się z tej godności Szymek, ale niedługo mocno się się zasmucił, gdy po apelu pozostałego wojska pokazało się, że Janka Ciwunia niema. Nie zginął, bo trupa jego nie znaleziono między poległymi, a więc musiał być wziętym w jasyr turecki

czy tatarski. Szymek nie przestawał szukać brata, rozpytywał o niego po szeregach, między rannych wchodził do polowego szpitala pod namiot, ale i tam go nie znalazł. Wreszcie powiedział mu jeden z ciurów obozowych, że widział zdaleka, jak Janka na powrozie ciągnęli Turcy za sobą, ale zaraz taki zamęt i kurz powstał, że nie mógł dojrzeć, co się dalej z Jankiem stało.

Szymek na tę wiadomość gorzką łzę uronił, bo i czyż mógł wiedzieć, co się później z Jankiem stanie? czy zapędzi go Turek za Czarne morze do swoich krajów, lub też w drodze ubije? Czy zresztą nie zabrali go z sobą w stepy Akermańskie aż do Krymu albo za Ural? Zresztą jeżeli po wojnie zamiana jeńców nastąpi, gdzie tu szukać Jana Ciwunia, prostego ciurę obozowego? Wszystkie te przypuszczenia trapiły niezmiernie Szymka.

* * *

Po zwycięstwach króla Sobka, bo tak wtedy nazywano króla Sobieskiego, reszta tureckiego wojska ciągnęła spiesznie za rzekę Dniestr, która do morza Czarnego płynie. Król pędził ich przed sobą aż pod Kamieniec podolski i spalił miasto Suczawę, które szturmem zdobyć musiał. Gdy tak prawie już całą Ukrainę od nieprzyjaciół oswobodził, powrócił do Krakowa i dopiero teraz z żoną swoją ukoronował się wśród wielkiej uroczystości. Był to król tak pięknego serca, iż oznajmił narodowi, który go okrzyknął królem, że dopiero wtedy przyjmie koronę na głowę, kiedy się jej stanie godnym przez pobicie natarczywych nieprzyjaciół. Tego też święcie dopełnił.

Wprzód jeszcze hetman Pac pociągnął z wojskiem na Litwę. Z nim musiałby wrócić i Szymon Ciwuń, bo należał do litewskich szeregów, ale on upodobał sobie wojaczkę, a prócz tego bez brata nie miał serca powracać do starego ojca, więc prosił hetmana, aby mu pozwolił i nadal wojować na Ukrainie. Myślał on sobie, że może Bóg dozwoli wziąć w niewolę jakiego znacznego Turka i za niego zrobić zamianę na brata. Pan Pac tak mu wtedy odpowiedział:

— Dobrze! mój zuchu, zostań i walcz jak na rycerza przystoi, ale — dodał z uśmiechem — tylko za gardło swoich niewolników mocno nie ściskaj, bo za trupa nie oddanoby ci żywego brata.

Został więc Szymek w szeregach królewskich i podczas, kiedy król koronował się w Krakowie, on tymczasem na Rusi i Podolu razem z drugimi objeżdżał miasta i wioski patrolem i baczył, czy gdzie nie posłyszy jakich wieści o zbliżaniu się Turków lub Tatarów.

Niedługo też czekał na nieprzyjaciela i niedługo król po

wojnie i koronacyi mógł wypoczywać: bo oto w rok potem dano znać na szlakach tatarskich zapaleniem smolnych beczek na wzgórzach o zbliżaniu się wroga. Z Krakowa niebawem przypędzili gońce do pałacu wilanowskiego pod Warszawą, przynosząc królowi straszliwą nowinę: że ten sam Ibrahim i nowy seraskier, to jest wódz turecki, z większą jeszcze chmarą wojska nagle wkroczyli w granice Polski. Było tego wojska ośmdziesiąt tysięcy Turków i sto trzydzieści tysięcy Tatarów.

Ci dwaj dowódzcy pogańscy po dawnemu zaczęli plądrować na Podolu i na Rusi czerwonej, że zaś nigdzie nie napotkali silnych oddziałów polskiego wojska, więc znęcali się strasznie nad mieszkańcami, a ludu w niewolę brali po drodze co niemiara, bo każdy wpadał w ich ręce, kto nie zdążył zemknąć w niedostępne lasy lub góry. Prowadzili oni z sobą trzy tysiące wozów naładowanych bogatą grabieżą z polskiej ziemi. — Obdzierali ze złota i srebra kościoły i cerkwie, zabierali drogie naczynia i szaty po miastach i dworach, przytem pędzili stada bydła i koni z obór i stajen zabrane. Prócz tego prowadzili z sobą piętnaście tysięcy jeńców, których po drodze schwytali.

Między niewolnikami był i nasz Janek poprzednio już, jak wiemy, pojmany. Dorodny i silny mężczyzna spodobał się Ibrahimowi szatanowi, więc też wziął go z sobą na swoje stepy. Tam przez pół roku pasał za dnia barany, a wieczorami do kuchni musiał drwa rąbać, wodę nosić lub czyścić stajnie i opatrywać jego pyszne rumaki. Przykro i boleśnie było biednemu Litwinowi o kilkaset mil od ojczyzny wysługiwać się poganinowi, a nieraz nawet od tureckich dozorców wiele wycierpieć, bo u Turków był zwyczaj, dotąd jeszcze zachowywany, bicia w pięty kijami za najmniejsze przewinienie. Kara taka nazywa się u nich basarunkiem, a tych basarunków nie żałowali oni nigdy niewolnikom chrześcijańskim, których pogardliwie *giaurami*, czyli psami niewiernymi zwali.

Przed wyciągnięciem na tę drugą wojnę do Polski, Ibrahim zawołał Janka do siebie. Palił wtedy fajkę z długiego cybucha, siedząc na ziemi z założonemi nogami pod siebie, a na głowie miał ogromny zawój. Kiedy wszedł Janek, Ibrahim spojrzał nań bystro swem szatańskiem okiem, że biedny Janek myślał, iż mu zapewne przyjdzie pożegnać się ze światem, ale wódz kazał mu powiedzieć przez swego tłumacza, że go przeznacza do swoich usług za to, że mu zręcznie i wiernie dotąd służył. Kazał go więc zaraz ubrać po turecku w trzewiki, szerokie spodnie, w kaftan i zawój na głowie, a w dowód szczególnej łaski kazał mu jeszcze zgolić gładko głowę tak, że tylko na czuprynie jeden kosmyk włosów został. Kiedy zaś mówić do niego będzie, kazał mu zawsze trzy-



Powrót z pola.

mać ręce skrzyżowane na piersiach, na znak wielkiego posłuszeństwa.

I cóż miał biedny Janek robić? Westchnął boleśnie, ale słuchać musiał. Zresztą polecił się szczerze Panu Bogu i nie tracił ufności... Zaraz też prawie zerwał się Ibrahim szatan do wojny i razem z seraskierem wyciągnął na Polskę z ogromnem wojskiem, jak to już wyżej powiedzieliśmy. *Dokończenie nastąpi.*

Święty Wit, słowik cyt.

Któż się z nas nie zachwycał miłą i rozrzewniającą pieśnią słowika, tego pierwszego śpiewaka naszych zielonych gajów?

Gdy ziemia zrzuca z siebie twardą skorupę zimy, on nam zwiastuje i przyprowadza wiosnę, która ubiera kwiatem nasze szare niwy, wlewa w piersi jakąś pociechę i budzi nową cześć dla Tego, który tak piękny i wielki świat stworzył. Ileżto razy, nie jeden z nas, kiedy żal jaki duszę ciśnie, a może i łza do ócz nabiera, idzie w ciche ustronie, gdzie się czeremcha, jakby śniegiem, białym okryła kwiatem, i słucha z rozkoszą słowika, że aż mu lżej i milej w życiu się staje.

Władysław Jagiełło król polski, który potęgą ówczesną naszego kraju i wdziękami sławionej królowej Jadwigi skłoniony, pojął ją za żonę, i Litwę pogańską ochrzciwszy, do Korony przyłączył, bardzo lubił śpiew słowika. W ostatnich nawet chwilach swego życia w Gródku koło Lwowa, kazał się, już chorego, wynieść do dąbrowy, czyli zielonego lasku, aby słuchać śpiewu tego rozkosznego ptaka, a nawet, jak piszą, że przeziębienie z tego powodu, przyspieszyło zgon owego monarchy we wspomnianym Gródku w 48 roku życia nastąpiony, i ztąd zwłoki tego władcy przeniesiono do Krakowa, do grobów królów polskich.

Ale dziś kiedy mija połowa czerwca, milknie też ów rozkoszny śpiewak gajowy, i już rzadko słychać jego lubą i głośną piosenkę! A chociaż już idzie do nas bogate i brunatne lato, choć niedługo pola zielone pokryją się złotą szmatą pszenicy, i przyniosą nam chleb powszedni, o który codziennie do Boga w modlitwie wołamy, chociaż już wonne róże czerwienią się i bielą po ogrodach i polach, gęstemi kępami; my jednak zatęsknimy za wiosną i słowikiem, bo wiosna, to młodość, a któż za młodością w swem życiu nie wzdychał?

A dlaczegóż słowik już umilkł? *Bo nadszedł święty Wit, to też słowik cyt!* Tak lud wiejski między sobą gwarzy; posłuchajmy go, i my się nauczym, zkąd to przysłowie powstało?

Szedł sobie raz, (mówi podanie ludowe) Pan Jezus przez pole,

i spotkał młodego chłopca, imieniem Wita, który się tułał po polach i lasach, unikając prześladowania pogan, za to, że wyznawał naukę Chrystusa. Chcąc pocieszyć smutnego Wita i natchnąć go nowem męztwem, przemówił do niego Pan Jezus.

— Wicie! Wicie! — a czy już jest ziarno w życie?

— Nie słyszę, Panie! — odrzekł Wit, bo mi ptactwo bardzo nad uszami krzyczy.

Wtedy Pan Jezus, chcąc prowadzić dalszą rozmowę z owym młodzieniaszkiem, którego dla jego wiary i cnót umiłował, miał się odezwać: *ptactwo cyt!* I od tego spotkania się p. Jezusa z Witem, które miało miejsce w połowie czerwca, niektóre ptaszęta, a między niemi słowik, najgłośniejszy z nich śpiewak, kończy swoje piosenki.

Ale nie myślcie, że osoba św. Wita, w tej ludowej powieści czyli legendzie, jest zmyślona. Oj, nie! cnotliwy ten młodzieniaszek, bo zaledwie lat 12 liczący, żył na świecie w 3-cim wieku t. j. około trzechsetnego roku po narodzeniu Chrystusa. Lubo zrodzony z rodziców pogańskich, poznawszy się z chrześcijanami, tak pokochał naukę Chrystusa, że ją potajemnie przyjął i wyznawał. A gdy się ojciec jego, poganin, o tem dowiedział, i wszelkiemi siłami usiłował powrócić go nazad do pogaństwa — całował chłopczyna ręce ojca, ale wyznał, że największe katusze, śmierć nawet sama, nie skłonią go do odstąpienia Chrystusa i Jego Boskiej nauki.

Tak się też stało, bo wkrótce, kiedy prześladowanie chrześcijan, za panowania Dyoklecyana cesarza rzymskiego, doszło do najwyższego stopnia, między innemi stawiono i Wita przed sąd, lecz obwiniony, nie chciał się obok największych męczarni wyrzec Chrystusa i kłaniać bożkom pogańskim — pomimo więc, że córce monarszej modlitwą i łaską Boską zdrowie przywrócił — rozszarpano członki tego młodego, ale prawdziwego wyznawcy Chrystusa, a Kościół św. uwielbiając cnoty męczennika i poświęcenie się dla wiary, zalecił go jako wzór do naśladowania swoim wyznawcom, w poczet Świętych policzył, i dzień 15 czerwca imieniowi Jego poświęcił.

Zbawienie dwóch duchów.

(Gadka ludowa).

W pewnej wiosczynie wielko-polskiej pokutowało. Ledwo noc zapadła, widywano na cmentarzu, który drewniany, mchem porosły, otaczał kościółek, osobę w bieli klęczącą. Nikt nie śmiał do niej się zbliżyć; pielgrzym o tej porze mijał z daleka cmen-

tarz, a kto go przebiegać musiał, z odwróconą twarzą i trwogą w sercu przechodził jak najspieszniej.

Daremnie dawano na Msze św., gorące modły Pasterza gminy nie zdołały ubłagać odpuszczenia win pokutującemu, który zawsze w oznaczonej godzinie na swoim pojawiał się grobie.

Zdarzyło się razu pewnego, że się w karczmie zabawa odbywała. Rozochocone gorzałką chłopki weseliły się w noc późną, aż część znaczniejsza znużona ciągłemi tany a niejeden może i nadużyciem trunku, do domów się rozeszła; zostało tylko kilkunastu młodych parobków dobrze podchmielonych wódką.

— Wiesz co Kuba — ozwał się Jędrek — wszak ty to zawsze wielkiego zucha udajesz, jeśliś taki śmiałek, przynieś nam tego ducha, co tam zawsze klęczy przy kościele!

— Ha, ha, ha — odrzekł na to Ignacy siedzący na ławie przy potężnym półkwaterku gorzały — choćbyś mu złote góry obiecywał, pewnoby nawet pod cmentarz nie zalazł.

— On mi też do tego stworzony — pomruknął inny.

Powstała coraz żywsza wrzawa, kiedy Kuba oburzony przycinkami i pośmiewiskami »no« krzyknie, »bo ja tu z siebie drwinkować nie pozwolę — co mi dacie, a za kwadrans ujrzycie nieboszczyka tu na tym oto stole!

— Cztery garnce wódki — ozwali się jednogłośnie.

— Dobrze, przystaję — ale biada temu, co z karczmy uciecze, kiedy ja powrócę! — i wcisnąwszy baranią czapkę na uszy, odszedł, a parobczaki śmiejąc się potakiwali sobie:

— Dyć go tu jeno patrzeć za chwilkę.

Ha kiedy już ksiądz Proboszcz, osoba przecież poświęcona, a nie śmie z duchem się spotkać, cóż dopiero z nas który! Oj, żeby mu też tam dobrego strachu nagnało! będzie mędrszym nadal sobaka.

— Panie Pietrze, jeszcze po kieliszku tutaj — tylko tej naszej co tak głaszcze po sercu, jakby weń zarzewia nasypał.

Nie maszci to, jak dzień godny,
Kiermaszowy, kiermaszowy;
Pije wódkę człek swobodny,
Przez noc całą z dnia połowy.

Nie troszczą go dzieci, żona,
Nie zna ich parobczak młody;
Jeśli westchnie wpośród grona,
To, by klasnął w twarz jagody!...

— Oh, cóż nam tam zawsze jednę będziesz dudlił — Maćku.

— Jedna, jedna ale dobra!

— Nu Maciusiu — ty coś się już kiwasz — opowiedz nam

jeszcze co — boć przecie niepodobna spać, kiedy tu duch ma przyjść.

— Oj ma, ma — zobaczycie wy tu ducha, ale w baraniej babie, bladego jak śnieg; będęć się też śmiał serdecznie ha, ha, ha! — Słyszysz go, jak już drapie do drzwi! oślepła psiawiara, nie widzi nawet gdzie rygiel od karczmy.

Tu się drzwi z grzytem na wpół rozwarły.

— Najsłodszy Jezu! — zawołał z trwogi stary Szymon, a parobczaki oniemieli; w kąt się tłoczą na wpół martwi, bo przed nimi martwiec w śnieżystej szacie, wybladłej twarzy, z rękoma na krzyż złożonemi, stanął poważnie na stole, na którym go odważny przewodnik usadził, i wzrokiem wstrząsającym najtwardsze serca potoczył około siebie.

I po długiej chwili milczenia obrócił się do mężnego Kuby, i wskazując oschłą dłonią na drzwi, grobowym odzywa się głosem:

— Zkądeś mnie przyniósł, tam mnie odniesiesz.

Zadrżeli wszyscy, zadrżał i Kuba. Nogi mu drętwieją, serce mróz dreszczu ścina; chciałby się zrzucić z tak srogiego rozkazu, ale duch tak silnie nań spogląda, że nawet ust otworzyć nie śmie. Bierze więc drżącemi dłońmi srogiego towarzysza, wkłada na ramiona i obaj znikają.

Śmiertelna cisza rozlała się po całej izbie, i młodzi krzykacze milczą, jakby im żelazem zakuł usta. Nie jeden duszą skruszoną ciche wznosi modły do Boga, aż nareszcie przerwał milczenie Maciek, ale już nie rozkazującym, ale słabym głosem:

— Oj wiecie, prędzej wierzyłbym był, że ziemia podemną pęknie a ja weń zapadnę, jak że ujrzę taki cud! Drwiliśmy z Kuby, ale to jednak człowiek, nad którym Boska czuwa Opatrzność. Zgrzeszyliśmy, uderzmy się w piersi i zmówmy trzy Zdrowaś i jedno Wierzę za tę duszę, którąśmy tak znieważyli.

I wszyscy uklękli, i przy mgławym blasku dogorywającej świeczki i dotlewającego się ognia na kominie, szeptali pacierze.

Tymczasem Kuba wśród czarnej nocy drżącym pospieszał krokiem na cmentarz. Skrzypiącą otworzył furtkę, i przystąpiwszy do grobowca na którym nieboszczyk zwykł był chwile swojej pokuty odbywać, chciał go znów na nim złożyć.

— Nie tutaj teraz moje miejsce — ozwał się znowu grobowym głosem — przed ołtarz do kościoła mnie zanieś, bo biada temu, co naszych nie spełnia rozkazów!

W obłąkaniu prawie zbliżył się Kuba z swym towarzyszem do wrót świątyni, gdy się ta z hukiem otwarła, przerażając okropnem echem cichą modłów zachronę; pękły także i drugie drzwi kruchty i jakaś jasność uderzyła oczy Kuby. Przecie w tej chwili

nadzwyczajnym dziwem trwoga znikła z jego duszy, a duch rzekł z łagodnością:

— Czy widzisz tę białą osobę, co tam klęczy przed wielkim ołtarzem? Jest to mój kumotr, z którym zwaśniwszy się za życia, pomarliśmy obaj w zagniewaniu. Już pięćdziesiąty rok tutaj pokutujem, a prędzej zbawionymi być nie możemy, dopóki nas kto na tej ziemi, z którejśmy z gniewem odeszli, znów nie połączy. W twojej dziś mocy zbawić lub zgubić nas na wieki! Chcesz naszego szczęścia, to przystąp wraz ze mną do ołtarza i połącz nasze dłonie.

Zdumiał się Kuba na tę prośbę groźnego wprzódy ducha; lecz jakąś dziwną uczuwszy odwagę w sercu, nie długo się wahając, zbliżył się do osoby przed ołtarzem Pana Zastępów klęczącej. Duch klęczał, nie rzuciwszy ni jednego nań spojrzenia, aż Kuba się odezwał:

— Bóg waszej zgody pragnie widocznie, bo się ulitował nad grzesznymi, podajcie więc sobie braterskie dłonie. — A duch wesoło nań spojrzawszy, wyciągnął białą jak śnieg prawicę. Kuba ją silnie pochwycił i złączył z ręką swojego towarzysza.

Wtem wzrok jego jakimś nadziemskim oblany blaskiem napróżno usiłował rozpoznać twarze istot, które wybawiał. Widział tylko jakby przez mgłę dwie osoby uroczej postaci; wkrótce znikły; głos tylko dźwięczny obił się o jego uszy: »prawy człowieku idź do twojej powinności, nie bądź za wielkim śmiałkiem, a nie wątpij o wdzięczności tych, którycheś z paszczy czyścia wyswobodził«.

Upadł Kuba na kolana, długo się modlił gorąco do nieba, poczem wrócił otwartemi jeszcze wroty z kościoła do swoich towarzyszów. Zadrżeli wszyscy, gdy wstąpił do karczmy; ale go nikt dalej nie badał. On też w myślach pogrążony, dumał niejaki czas na ławie; a gdy już ludzkie gwary powrót dnia oznaczyły, pożegnawszy towarzyszów uprzejmie, odszedł.

Widziano go w tym samym dniu jeszcze na Mszy św., której klęcząc słuchał z wrytemi w ołtarz oczyma. I wieść cudu wkrótce rozeszła się po całej okolicy. Kuba był odtąd w wielkim u gminy szacunku, który przez cnotliwe nader życie tem mocniej sobie zatwierdził. *A. B.*

Kilka uwag o wściekliznie.

Dość często słyszy się dziś o strasznych wypadkach pokąsania ludzi przez psy wściekłe. Dlatego może nie od rzeczy będzie

przytoczyć tu kilka uwag, dotyczących tej choroby, a wyjętych z *Gazety Olsztyńskiej*. Czytamy tam te słowa:

»Zastraszające wypadki ostatnich dni, spowodowały mnie zająć się bliżej tą straszną chorobą i zwrócić kochanym Czytelnikom uwagę na rodzaj i pochodzenie szału wodnego, czyli wścieklizny.

Chorobie tej podlegają najczęściej psy, lecz i inne zwierzęta, jako i człowiek może w chorobę tę popaść. Za przyczynę choroby tej u psów i kotów uważają uczeni zbyt wielkie zimno, upał nieznośny, brak dobrej wody do picia i t. d., u innych zwierząt, jako i u człowieka tylko pokąsanie przez psa będącego w tej chorobie, lub innego zwierzęcia, i przeniesienie jadu z śliny chorego zwierzęcia w przypadkowo będące rany.

Wścieklizna u psów jest dwojaka: *cicha* oznacza się tem, iż pies spuściwszy głowę na dół, leci, mając ogon wciągnięty, ślepo przed się, z pyska z którego wychodzi biały jak ołów ozór idzie ciągle piana, oczy ma czerwone i na dół spuszczone. Przy wściekliźnie zaś *gorączkowej* niema pies ogona wciągniętego, lecz nosi go jak zwykle zdrowy, i tylko pies w największym szale będący spuszcza ogon na dół, z pyska mało tylko leci mu piany, jest bardzo dziki, napada na ludzi i zwierzęta, a nie leci wprost przed siebie, tylko krętemi drogami.

Odznaki choroby są różne. Rozpoznać można takowe w jej początkach, uważając na następujące rzeczy. Zachowanie się psa w początkach tej choroby, jest przeciwne zachowaniu się jego w zdrowym stanie — jest mrukliwym, leniwym, nieposłusznym, i pokazuje wielką chęć do kąsania, traci apetyt, nie chce przyjmować wody za napój, a nawet czuje wielką odrazę do wody, nie może szczekać tylko wyje, oczy zachodzą ropą, nie rozpoznaje przedmiotów, kąsa wszystko co napotka, nawet swego pana, nareszcie pobiera go chęć ucieczki, stara się wszelkiemi siłami potargać pęta, a gdy mu się to uda, pędzi ślepo przed siebie, napada wszystko co na drodze napotka, bez poprzedniego zaszczekania. Po 5 do 8 dniach następuje wśród kurczów nagła śmierć.

Jeżeli człowiek lub zwierzę jakie przez wściekłego psa pokąsane zostało, wtenczas dni kilka, lub nawet wiele miesięcy trwać może, nim choroba się okaże.

Człowiek pokaleczony przez psa wściekłego zachowuje się początkowo spokojnie, rana się zagoi, lecz staje się później uraźliwą, dostaje ciemno-brudnego koloru lub się napowrót otworzy, następuje niepokój, bojaźń, brak powietrza, chory nie może połykać, wpada w szał i kurcze, które się śmiercią kończą. Przy nieszczęśliwym takim wypadku trzeba się niezwłocznie udać do lekarza, można także najprzód wymyć dobrze rany octem, wodą

solową lub mydlaną. Gdy się ma pod ręką, to najlepszym jest *salmiak*. Do picia używa się mocnego odwaru *łuczka cebulowego* (Knoblauch) i w potrawach trzeba przez dłuższy czas używać więcej łuczka. Ponieważ to choroba bardzo niebezpieczna, nie trzeba więc żałować kosztów ni trudu, a ściśle trzymać się przepisów lekarskich, i nie używać różnych lekarstw i środków, jakie którabądź z bab mądrych poleci.

Przy bydle trzeba rany dobrze wyczyścić, potem przez przytrzymanie gorącego żelaza blisko rany takową ogrzać, bacząc, by ciała nie przypalić. Tak czyniąc przez dłuższy czas, można ranę także pomazać czystym olejem lub tłuszczem, a gdy olej wyschnie, namazanie powtórzyć. Wszelkie nieczystości wychodzące z rany, starannie zetrzeć, później dobrze zawinąć i tak pozostawić, póki się nie zagoi. Miałoby bydło popaść jednakowoż w wściekliznę, to początkowo okazuje brak apetytu, nie przyjmuje wody, jest bojącem, trzęsie się na całem ciele, głos ma zmieniony, oczy dzikie i czerwone, z pyska leci piana, czasami popada w szał; inne zaś są spokojne, zasępione, dostają nareszcie kurczów, poczem nastaje śmierć.«

Tyle w *Gazecie Olsztyńskiej*. My zaś z naszej strony podamy w następnym numerze *Nowego Dzwonka* inny jeszcze środek lekarski przeciw wściekliznie, używany przed 30 laty z wielkiem powodzeniem, a wynaleziony przez pewnego kapłana w Królestwie Polskiem.

Do niniejszego numeru dołącza się **Nr 7 „Nowin i Rozmaitości"**.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.